



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## MAURYCY JOKAJ.

Zasłudze cześć oddać jest cechą i przywilejem narodów cywilizowanych, które tym sposobem składają hołd natchnieniom wzniosłym, ukazującym ludzkości i społeczeństwu swemu szlak drogi życia, wiodący górną w stronę tych wyżyn, ku którym ludzkość dąży przez wieki w pocie czoła i tęsknocie serca. Maurycy Jokaj, pisarz gorącej, poetycznej wyobraźni, należący do rzędu pisarzy postawionych już najwyżej w zakresie literatury pięknej, nie tylko swego narodu, ale ogólnej, obchodził w dniu 5-tym bieżącego miesiąca jubileusz półwiekowej swej pracy, której oddawał się z zamiłowaniem najwyższym i nigdy nie słabnącym. Dziesięć godzin dziennie zwykle pracując, nie czuł się bynajmniej zmęczonym, bo duch przychodził z pomocą ciała, a zamiłowanie, które niemal zawsze towarzyszy prawdziwemu talentowi, czyniło tę jego pracę tak mu miłą, tak drogą, że gdy jakiś zbieg okoliczności odrywał go od niej, zdawało mu się, że dzień był straconym. — Nic dziś nie robiłem.. mawiał wtedy niezadowolony, jakgdyby wszystkie inne gałęzie pracy były tylko zajęciem jakimś pobieżnym, które uważał za przeszkody w pracy rzeczywistej.

Pötöfi był przyjacielem jego serdecznym od lat bardzo młodych; on i Soma Petries, malarz wyższego talentu, stanowili najbliższe jego towarzystwo w okresie czasu nauki szkolnej. Jokaj czuł się wtedy przeważnie poetą; choć napisał w tym okresie czasu powieść konkursową „Sąd Boży“, za którą przyznano mu pierw-

szą nagrodę, uważał to za rzecz pomniejszego znaczenia. Dramat stworzony w 1844 r. na tle jakoby mytu żyda wiecznego tułacza, zyskał mu odznaczenie wyższe: nagrodę przyznaną przez akademią peszteńską, przeciw prawdziwym rozkwitem jego talentu była powieść skreślona w 1846 r., pierwsza z tłumaczonych na język obcy, i od tej chwili zaczynają go przekładać i Niemcy, a twórczość jego znajduje już sobie od tej chwili kierunek stały—drogę wiodącą wyżej, niż do chwały literackiej, bo do wielkiej popularności, do wielkiego wpływu na społeczeństwo swoje.

Piero jego skreśliło 325 powieści i nowel, a za dar taki należała mu się zapłata od czytelnika, jaką też przedstawia obchód jubileuszowy, rozpoczęty przedstawieniem jego dramatu w teatrze peszteńskim. Nazajutrz w obszernej, wspaniałej sali ratuszowej zebrał się ministrowie z prezesem swym Wekerlim na czele, członkowie izby panów, deputacye wszystkich miast i gmin wiejskich — wszystkie wreszcie osobistości wybitniejsze, wszyscy zdolni odczuć ważność wpływów piśmiennictwa na społeczeństwo. Schody, wiodące do wnętrza starożytnego gmachu, były wybite dywanami, zdobne w zieleni i kwiaty; młodzież uniwersytecka trzymała tu straż i czyniła honory: wprowadzała gości i deputacye rozmaite do wielkiej sali, w której na wspaniałej estradzie umieszczone było popiersie Jokaja, odlane w brązie, a poniżej—ogromny stół marmurowy, na którym składano dary, z którymi śpieszono do jubilata nie tylko ze wszystkich stron kraju, ale zewsząd, gdzie tylko znajdowała się garść jakaś jego ziomeków.

W pierwszym rzędzie krzesel zasiadli członkowie rodziny Jokaja, dalej deputacya kobiet, stowarzyszenia miast i gmin wiejskich, a na przybranej kwiatami galeryi panie w strojach jak najświetniejszych, Etvös, także literat i przyjaciel Jokaja od lat jego młodych, przemówił do zgro-

madzonej publiczności, wykazując jednolitość jego natchnienia do końca.

Wśród Jokaj; wszyscy powstali, wszystkie dłonie uderzyły z zapalem a Etvös przemówił z wielką powagą, która przeciw nie zatłumiła wzruszenia. Nadeszło z powodu jubileuszu mnóstwo telegramów od osobistości dostojnych, od literatów, i trwało to do południa, po czym Jokaj przyjmował rodzinę i przyjaciół, a gdy nakoniec udał się do swego pokoju, aby odpocząć, wręcono mu w jedwabnej kopercie listę osób, które podpisały się na abonament dzieł jego, i czek na 100.000 florenów.

Wieczorem o godzinie ósmej nastąpiło w tej samej wielkiej sali ratusza zebranie osób tychsamyh, które były przytomne tu rano, zaszły tylko pewne zmiany w urządzeniu sali. Zniesiono estradę, ustawiono na tem miejscu pod ścianą stół, długi na metrów trzydzieści, i rozłożono na nim podarunki, otrzymane przez jubilata, a było tu co oglądać. W pośrodku mieściła się piękna szkatuła srebrna w stylu Odrodzenia z herbem miasta, zdobioną w wypukłej rzeźbie wieko; ponad tem wznosił się portret Jokaja, otoczony jakoby oprawą: rzędem brylantów i rubinów. Wokoło rozłożono szesnaście emaliowanych medalionów, na których mieścił się katalog najznakomitszych dzieł Jokaja i oczy widza nie wiedziały: na czym się zatrzymać? Dar dzieci węgierskich, przepiękne album, mieszczące dwa tysiące fotografii tychże dzieci, otaczały rozłożone kołem adresy miast, stowarzyszeń, wszystko w bogatych, pysznych ramach. Tło stanowił rozwieszony na ścianie ogromny kobierzec, dzieło zbiorowej pracy osiemdziesięciu dwóch pań węgierskich z najstarszych historycznych rodów; poniżej stołu stojąca, rzeźbiona artystycznie skrzynia dębowa, wysoka na dwa metry, mieściła w sobie dary malarzy węgierskich, wśród których znajdowały się krajobrazy miejsc, jubilatowi pamiętnych, lub



wybitnych przez wielkie dla Węgier wspomnienia.

Możnaby zapisać arkusze całe, wyliczając co tu było. Jokaj, prowadzony przez kilku studentów, spełniających rolę ciceronów, oglądał wszystko wzruszony, ścisnął ręce ludzi, którzy z uszanowaniem mu się przedstawiali, aż przyszedł czas udania się na bal opery, wspaniale urządzone. Od łóż pierwszego piętra wiódł pomost ozdobnie udekorowany, z ustawionym rzędem foteli, a w głębi sceny wśród zieloności krzewów egzotycznych wznosiło się popiersie jubilata z białego marmuru, Jokajowi błysnęły łzy w oczach. Wzruszony, ścisnął ręce cisanego się doń tłumy, a gdy młoda pavenka przysunęła się do niego z prośbą, aby dał jej na pamiątkę tej chwili kwiatek z bukietu, który trzymał w ręku, on, wzruszony, wyjął z niego, piękną białą różę, a tyle rąk niewieścich wyciągnęło się wtedy ku niemu, iż rozdał bukiet cały.

Zanim jeszcze otrzymał dar jubileuszowy, zanim wiedział, iż go dostanie, złożył na rzecz stowarzyszeń literackich i artystycznych 10.000 florenów na zapomogi dla początkowo w tych zawodach pracującej młodzieży. Zawsze wspaniałomyślnie hojny, nie zebrał też majątku, ale otacza go taki szacunek jego społeczeństwa w warstwach wszystkich, że prymas Węgier, kardynał Vaszary przybył osobiście do jubilata rano w dzień uroczystości, aby mu powinszować.

Wydanie jubileuszowe, na które zapisy rozpoczęły się już poprzednio w czasie trwania uroczystości, będzie miało dwie edycje; jedną bardzo wytworną, drugą—skromniejszą, aby mogły tu współuczestniczyć klasy wszystkie, jak o to upomniały się zaraz dzienniki ludowe. Rzecz tę wziął w opiekę swoje hr. Csaky, minister oświecenia, który odezwał się też z kolei i nazwał się w tej przemowie stróżem najwyższych praw narodu swego, bo rozwoju jego myśli.

M. I.

## PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Feliksiewicz wskazał Józiovi stół, otworzył szkatułkę umaczał wate w oliwie i łagodnie marszcząc mu twarz, mówił cicho:

— To konieczne, aby czarna farba przylegała dobrze do skóry.

Chłopiec nie słyszał mowy starego aktora, podając się własnej wrażliwości. Duma, radość i niewiadomy strach szarpały jego sercem.

On wyjdzie na scenę i będzie niósł przed wielkim Otellem pochodnię, będzie blisko niego, będzie patrzył w jego oczy i drżał przed burzą jego głosu!

Spojrzał na Otella. Stał podparty pod boki. Białe płaszczyki spływały mu z ramion, a odbłaski sukni złościły mu twarz.

— Kawaler kontent z roli? — zagadnął go po chwilowym milczeniu Feliksiewicz i ocucił.

— Bardzo — szepnął Józio — Pragnąłbym co dzień występować.

— Naprzód trzeba się oswoić ze sceną i nauczyć po niej chodzić, a gdy jest talent, reszta sama z siebie przyjdzie.

— Gdy jest talent? — powtórzył zdziwiony Józio.

— Ma się rozumieć, bo gdy go niema — niema nie.

— Nie?..

— Nie, a jeżeli jest coś, to tylko robota i blaga.

Kawaler jesteś wzruszony; przeczuwam, że zbliżasz się z czeią do sztuki i dlatego przy-

puszczam, że masz talent. Pewno kochasz sztukę?

— Kocham — szepnął zdziwiony.

— Kostyum dla murzynka i pochodnia! — zawołał krawiec teatralny, wychylając głowę po za ballustradę schodów.

— Tutaj! — zawołał Feliksiewicz, podbiegł do krawca, odebrał rzeczy i położył je na stole obok uczerzniego chłopca.

— Ręce i peruka na sam koniec! Ubierajmy się żywo.

Józio ubierał się w pół śnie, oczarowany nową rolą i stanowiskiem.

— Ja na scenie? — za godzinę będę na scenie, — powtarzał w duchu. Przechodziły go dreszcze rozkoszy i strachu.

— A teraz, proszę się przejrzeć — zakomenderował Feliksiewicz, prowadząc Józia przed stojące lustro.

Chłopiec spojrzął i zobaczył w odbiciu ślicznego murzynka, przystrojonego w szkarłat i biały płaszcz; uśmiechnął się — i murzynek się uśmiechnął, i dopiero wtedy faktycznie się przekonał, że to on sam uwieczony został w czarnej postaci.

— Dostę, chodźmy na scenę. Wezmę egzemplarz od suflera i dowiemy się co robi murzynek.

Feliksiewicz, o nieruchomo spokojnej twarzy aktor, przeszedł naprzód, za nim, drobnym krokiem, z gołymi czarnymi łdkami, murzynek. Raz jeszcze spojrzął wystraszonemu wzrokiem na potężnego Otella, Cassia, Jaga, i zbiegł ze schodów.

Przesuwał się nieśmiało, będąc pewnym, że oczy wszystkich zwrócone są na niego.

Spotkał go jednak zawód: nikt na niego nie patrzył. Przesuwał się wśród statystów i młodzieży z miasta rozmawiającej z artystkami.

Wszedł na scenę, Feliksiewicz wziął od suflera egzemplarz tragedii i zaczął go przeglądać przy kulisowych lampach; chłopiec patrzył dookoła.

Wszystko olbrzymiało w jego oczach. Świątynia sztuki wydawała się wielką, do nieprzejrzanej wysokości. Uczuwał cześć dla „świątyni“ a korzył się przed jej wspaniałością.

— Jak muszą być szczęśliwi ci wszyscy, którzy mogą codzień chodzić po scenie, wygłaszać wielkie myśli wielkich poetów i grać!..

Maszyniści przygotowywali dekoracje.

Olbrzymie, na rozpiętych ramach, płótna, jedne wznosiły się w górę, drugie spadały cicho na dół. Urywane rozkazy rzucano szeptem. Podłogę zasłano dywanem, wnoszono na scenę meble, ustawiano je, zakładano draperie a wszystko to cicho i szybko.

— Mam — odezwał się Feliksiewicz. — Otello wybiega z lewej strony, przed nim dwóch murzynków z pochodniami. Gdzież pański kolega?

Józio nie miał pojęcia o kolledze i milczał.

Feliksiewicz zwrócił się do jednego z rycerzy. Za chwilę przybiegł młodzieńcy, żywy, swawolny w ruchach murzynek, widocznie dobrze obeznany z kulisami, bywałec...

— W drugim akcie — uczył ich poczciwy aktor — Otello wybiega na scenę w nocy. Wtedy wy z pochodniami, na dany znak, wyjdziecie przed nim, idąc w tym kierunku, a staniecie tam! — wskazał ręką.

— Wychodźcie! raz, dwa, trzy!

Wyszli: Józio wzruszony i uroczysty, kolega jego z figlarnym uśmiechem i pewnością siebie.

— Gdy staniecie, podnieście pochodnię w górę, a twarze i wzrok zwróćcie na Otella, patrząc w niego jak w tęczę, jak na króla, pana, władcę...

— Dobrze — szepnęli.

Wesoły chłopak pomknął do ogólnej garderoby dla rycerzy i wojska.

Józio zwrócił się do Feliksiewicza.

— Czy mogę zostać i z za kulis przypatrywać się grze? — zapytał prosząco.

— Możesz. Tu z tego miejsca widać dobrze, a przytem nie będziesz nikomu zawadzał. Kochać sztukę, to znaczy czuć w sobie talent! — odszedł.

Józio, przytulony do kulis, został sam. Nie był zdolny myśli zebrać i opamiętać się. Wszystko dokoła w półcieniach i półświatłach wydało mu się tajemniczym i tajemniczością uroczem...

Rozłożono dywan na podłodze sceny, żelazną kurtynę ściągnięto, muzyka zaczęła grać, zapalo-

no wszystkie światła, inspicjent stanął przy wielkiej księdze, aktorzy zgromadzili się u wyjścia — Otello, Desdemona, jej ojciec Doża, dygnitarze, służba...

Józio patrzył na artystów jak na półbogów. Oddałby z rozkoszą połowę życia, gdyby mógł być choć jedną godzinę Otellem!

Uderzenie pałką w podłogę na znak rozpoczęcia odbiło się dreszczem w sercu chłopca. Kurtyna z wolna się podniosła... Usta odchylił, oczy wytrzeszczył i zapatrzone, zahypnotyzowany, stał nieruchomo przez cały akt. Był tak blisko gry, widział każdy gest, odczuwał drżenie głosu, szepoty i wybuchy. Wpatrywał się w robotę, i to go czarowało.

Akt się skończył: Józio odetchnął, ciężar spadł mu z serca.

Wywoływania Otella wypełniły kulis, lecz te mało go zajmowały. Cofnął się, usiadł na przeciwnej pace, odpoczywał.

Poplątane myśli tłoczyły się do jego mózgu. Nie starał się nawet ich porządkować. Niech płyną!.. Przed oczami duszy jego stała postać wyobrażająca sztukę, mrugająca na niego czarownie.

— O czym дума murzynek? — usłyszał ponad sobą dźwięczny głos. Spojrzył. Stała przed nim „nawna“ uśmiechniona, patrząca pocziwie.

Zerwał się, czuł gorąco na twarzy, lecz szczęściem dla niego rumieńców na czarnej skórze nie było widać.

Młoda dziewczynę bawiło zakłopotanie murzynka, nie przestawała patrzeć mu w oczy i uśmiechać się.

— O czym? — powtórzyła pytanie.

— Sam nie wiem — odpowiedział cicho. — Pierwszy raz jestem za kulisami.

— Prędko się oswoisz — szepotała. — Gdy pierwszy raz znalazła się tu, lęk mnie wziął taki, że nie mogła. A dziś nie wyżyłabym bez kulis, ludzi, szepcików, śmiechu, wesołości. Czy gram, czy nie gram, muszę tu wpaść choć na chwilę. Pan zostajesz z nami?

— Jakto? — zapytał.

— To znaczy czy pan na artystę?

— Nie wiem, nie jestem zdecydowany.

— Najlepiej zdecydować się od razu lub nie przychodzić. Kulisy ciągną jak świtezianki w przepaść sztuki.

Zaśmiała się i, nie czekając na odpowiedź, pobiegła.

— Akt drugi! Panowie, zaczynamy! — wołał inspicjent — Murzynki do mnie!

Józio drgnął, pochodnię trzymaną w ręku ścisnął silnie, powstał i poszedł.

— Proszę stać tu i czekać.

Pierwsze sceny po wyładowaniu mimo awantur Kassy przeszły bez wrażenia. Przybiegł do kulis z gołą głową, ubrany w jedwabną purpurę Otello, stanął przed murzynkami, zapalono pochodnie. Józiovi ręka drżała, serce biło.

— Naprzód — szepnął nerwowo Otello.

Wyszli. Nogi się pod nim uginały, lecz on szedł szybko, prawie biegł, gdyż Otello stawiał szerokie kroki.

Stanęli. Pochodnię trzymał w górę, wlepiając oczy w twarz Otella, słuchając błyskawic, grózb, wlatujących jak cięcia.

Ukradkiem spojrzął w otchłań wypełnioną głowami ludzkimi na tle szarego mroku. Zbitej tej ciemnej massie oczy tylko i czoła świeciły.

— I oto jest publiczność, dla której się pracuje, uczy, wysiła, serce krwawi... Stokroć raczej lepiej grać dla samego siebie. Odwrócił głowę i więcej nie zajmował się tym potworem, nie myślał o nim, nie patrzył. Publiczność nie egzystowała dla niego.

Po wybuchach grózb i obudzenia, odebraniu szpady i uwięzieniu Kassy, Otello wraca do Desdemony, murzynki poprzedzające go nikną za kulisami.

— No i cóż? chrzest dobrze poszedł? — odezwał się Feliksiewicz wesoło, na widok zbliżającego się Józia.

— Dobrze — odpowiedział rad z siebie.

— Publiczność nie przestraszała kawalera?

— Nie patrzyłem się na nią i prawie nie widziałem jej. Co tam publiczność wobec sztuki i gry!



— Bravo, bravo, dobrze, doskonale! To znaczy mieć powołanie! Przy powołaniu bywa zwykle talent. Rozbierz się kawaler, odmyciem twarzy zajmę się sam.

Poczeiwy Feliksiewicz, rad, że się mógł kimś zająć, nalał na spodek oliwy i powoli, delikatnie zmywał twarz i ręce chłopcu.

— A teraz proszę się umyć mydłem w mojej miednicy.

Odswieżony zimną wodą, podziękował za pomoc i pobiegł za kulisy na obrane miejsce, patrzeć na dalsze losy murzyna i jego nieszczęśliwej żony.

— No cóż? zostajesz pan z nami? — zagadnęła go w antrakcie naiwna, wesola.

— Czy zostaję? Nie wiem co odpowiedzieć. Nie mam pojęcia: czy mam talent, jaki byłby ze mnie aktor? Pytanie pani jest taką dla mnie niespodzianką. To tak samo, jak gdyby mnie się kto zapytał: czy nie będę malarzem? a ja nigdy nie miałem pendzla w ręku

— Tylko pochodnię!... Lecz ta powinna pana oświecić. Czy pan chcesz, żebym panu powiedziała prawdę?

— Proszę.

Popatrzała na niego figlarnie i z wielką filiterią naiwnej, grożąc mu paluszkami, rzekła:

— Nie udawaj niewiniątka, gdyś już duszę zaprzedał dyabłu. Widziałam jak się wpatrywałeś w grę. Takimi oczyma patrzają tylko artyści. Będziemy się spotykali tu często. Podaj mi pan rękę i pamiętaj, że nie święci garnki lepią. I ja ni dłużej jak rok jestem na scenie,—a przecie...

— Publiczność i młodzież za panią przepada—zawołał Józio.

— Do przepadania daleko, ale mnie przecie lubi.

Zaśmiała się serdecznie.

— I pana lubić będzie, gdy pan naprawdę pokocha sztukę. Do widzenia!...

Odeszła, chłopiec został sam, ogłuszony i nieco ogłupiały nawałem wrażeń.

Ostatni akt przebiegł w pół hallucynacyjnej extazie zapatrzony w Desdemonę i jej rozszalałego rozpaczą zazdrości kata.

Kurtyna spadła, przedstawienie skończone, światła zgaszone na scenie noc, na kurrytarzach naftowe lampki migocą.

Wolno wyszedł z teatru i zmęczony, wyczerpany wrócił do domu.

Czuł jakąś zmianę w swoim organizmie, do jego mózgu tłoczyły się bezładne myśli, których uporządkować nie miał sił.

Wszedł cicho do mieszkania, wsunął się do swego pokoiku, po ciemku rozebrał i smutny, zdemontowany, położył się do łóżka.

O silnie zarysowanych konturach przesuwają się w jego mózgu ciemne obrazy: czarny murzyn duszący piękną kobietę; on sam, jako murzynek, przyswiecał mu pochodnią do popelnienia zbrodni; figlarnie uśmiechniona naiwna — i całująca go w usta młoda wiejska dziewczyna.....

Za dużo wrażeń w jednym dniu. Młody, wrażliwy organizm nie mógł ich udźwignąć. Spał tedy zmęczony widziadłami Józio, dopótna. Matka przyniosła mu do łóżka kawę, Stefa siadła przy nim.

W towarzystwie blizkich sereu jego kobiet było mu dobrze, serdecznie, ciepło. Spalone miał usta, oczy świecące, lecz się uśmiechał błogo. Matka bawiła się jego gęstą czupryną, Stefa opowiadała wesołe historie.

Odpoczywano, rozkoszując się tą czynnością. Dobrze im było we trójkę. Ciepłe fale powietrza napływały do pokoiku, przez otwarte okna niosąc wrzawę uliczną, pełną wesołego gwaru i szumu.

— Gdzieżeś był, mój chłopcze, cały wieczór? — spytała go matka.

— Gdzieżby moja mamó, jeżeli nie w teatrze? — szezebiotała Stefa.—Założę się, że nigdzie indziej. Mój Józio, musisz wyprawić mnie i mamie bal i zaprowadzić nas tam. Ja dotąd byłam w całym mojem życiu tylko dwa razy w teatrze. Słyszysz, dwa razy, a przepadam za teatrem tak, jak ty. I gdybym miała talent, zaraz zostałabym aktorką. Józio spowiadał.

— Myślisz, że nie? — mówiła dalej dziewczynka. — Niema szczęśliwszego życia, jak aktorki. Wygłaszać przed publicznością takie piękne my-

śli, grać z uczuciem i zapałem, odbierać oklaski, bukiety! To przecie rozkosz! Mamusiu, Józio to rozkosz! Rzuciła się matce w objęcia i zaczęła ją całować.

Wczoraj byłem za kulisami — rzekł poważnie Józio.

Zapanowało ogólne zdziwienie. Stefa i matka wpatrywały się w niego, pełne utajonego strachu.

— I występowałem — dokończył cicho.

— Ty?—zawołała Stefa — grałeś wczoraj? żartujesz sobie z nas.

— Występowałem razem z Otellem jako murzynek z pochodnią w ręku.

Cisza wypełniła izdebkę.

— I cóż?—pierwsza odezwała się Stefa.

Matka wpatrywała się w syna wystraszonemi oczyma. Chłopak sięgnął po jej rękę i przycisnął ją do ust.

Milczeli. Matka odgadywała tajemne myśli chłopca, siostra wpatrywała się w brata wzrokiem podziwu.

— A gadajże! zawołała. — Tyle masz do opowiadania, a milczysz jak zaklęty.

— Dużo i nie—odparł Józio.

— Co to są kulisy? jak to wszystko wygląda? Rozmawiałeś z aktorkami? Co ci mówili aktorzy? Czy to są wiele panowie!...

— Wielcy — szepnął i zamyślił się.

— Czy nie dziś nie będziesz gadał?

— Nie,—odparł lakonicznie.

— To bądź zdrow— wyszła, zamykając drzwi.

— No cóż, mój chłopcze—spytała go matka, patrząc mu serdecznie w oczy.

— Jeszcze nie, mamusiu. Artyści witali mnie jak kolegę. Nie wiem z kąd im to przyszło?

— Powiedz prawdę: czy ciebie ciągnie?

— Zdaje mi się, że ciągnie. Jest tam jakieś zaczarowany świat. Czuję się, że nieprawda, a wierzy, że prawda. Zostaje się panem, królem, mordercą, głupcem, ale zawsze jest się niezwykłym człowiekiem.

— Udawanie.

— Udawanie—powtórzył—lecz w tem udawaniu jest sztuka, jest prawda. Jak ten murzyn naprawdę wczoraj zazdrościł i jak okropnie cierpiał, a po zabiciu żony jakże jest nieszczęśliwy!.. Serec się krajało z bólu.

Łzy mu się zaszklily w oczach, otarł je rękawem od koszuli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## JULIUSZ SŁOWACKI W EGIPCIE.

(27 Września 1836—2 Stycznia 1837)

przez

Ferdynanda Hösicka.

(Dalszy ciąg).

Zauważy kto może: to jest realizm poetyczny, to jest wspaniała *fantazja-improptu* na temat Wschodu, lecz nie realizm takiego *Pana Tadeusza* np., gdzie poeta poprostu *fotografuje* naturę, nie zamykając oczu nawet na szczegóły tak naturalistyczne, jak owe piegi i zmarszczki na twarzy Telimeny, albo ów brakujący ząb w jej karminywanych ustach. Na taki, nie już realizm, ale naturalizm, którego by sam Zola się nie powstydział, stać również i Słowackiego, który, zwiedzając osobliwości Kairu, pilnie *obserwował* wszystko, później zaś, pisząc Beniowskiego, kiedy sobie przypominał te *choses vues*, nie zapominał bynajmniej o różnych prozaicznościach, i nietylko, że nie zapominał, ale nie wahał się nawet umieścić ich w poemacie, obok najczarowniejszych obrazów orientalnych... Opisuując np. ów taniec arabskich Almei, kiedy mu przychodzi mówić o tych, co się im przypatrują, o jednym powiada,

że „siedział z cybuchem, jak z wosku, i pił, spity, był w zachwyceniu raję”; o drugim, że „kiwa tylko głową na te cudy i potakuje; czasem, jak z butelki: huknie mu z gardła czkawka: Bóg jest wielki!”; o innych nie wreszcie, że „czasem z brody gęstej coś dostaną

I wcale tego na paznokć nie kładną

Ale puszczają wolno i z uśmiechem:

Bowiem zabijać rzecz żywą jest grzechem.

Z drugiej strony, zaprzeczyć się nie da żadną miarą, że Słowacki za bardzo był artystą i poetą, ażeby się przy swojej wykwintnej i niepospolitym smakiem estetycznym obdarzonej naturze lubować w tego rodzaju szczegółach, i że wołał, chodząc po ulicach Kairu, patrzeć na nie i obserwować je oczyma romantyka, aniżeli oczyma realisty wyłączenie, dla którego Wschód jest przedewszystkiem.. niechlujnym. Wołał, chodząc wieczorem po mieście, uspiącem i oblanem światłem księżycą, nabierać przekonania, że

...Wszystko na Wschodzie ma ogromną ciszę,

Wszystko ze światła złotego ubranie:

Mury ze złota zdają się, choć glina

Są oblepione i grożą ruiną.

Na murach dziwnej desenie lekkości

Przydają wieżom i ruinom wdzięku;

Wszystko się zdaje ze słoniowej kości,

I od Nimf było niesione na rękę,

I postawione śród palm zieloności,

Cudownie, śród harf aniołowych dźwięku,

Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała

Która na skrzydłach złotych przyleciała.

Trzeba być wielkim poetą, ażeby tak... umieć patrzeć, ażeby mieć tak poetyczne na świat spojrzenie. Można być pewnym, że kto inny, Zola np., z obawy przed banalnością widziałby w Kairze same tylko... stare i brzydkie, do więdz podobne, Arabki, które „w koszulach czarnych, z pod zasłony patrzące na świat dziko i jaszczurczo

Siedzą na ziemi, jako czarne wrony,

Albo—jak żaby w ogniu, gdy się skurczą;

Śpiewają dziwnie i dziwnemi tony,

Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą

I palą dzikie bładym ogniem zielska.

Słowacki, obok takich starych, obrzydliwych Arabek, widział jeszcze poglądujące nań ciekawie z za drewnianych okratowań okien

.....oczy panny lub mężatki,

Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże

I usta, czasem nie usta, lecz róże.

Ciekawość taka żonom pozwolona

Na Wschodzie, byle twarz zakryły samę.

Pokazać czasem wolno trochę łona

Przez rozciętego wskroś gorsetu bramę:

Ale twarz zawsze ściśle zasłoniona,

Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.

Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie

Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

Jeden z krytyków mówi co następuje: „Słowackiemu, dla schronienia się przed gwarem, nie wystarczało, jak Mickiewiczowi „trochę zieloności“ w jednej z okolic Paryża: jemu potrzeba było śniegów Alpejskich, lazurów Partenopy, piasków ziemi Mizraima. Tam szukał upojenia „słońcem i błękitem“, tam zbierał farby dla swej weneckiej palety...“ Otóż nie należy tego bynajmniej za szczególniejszą Mickiewiczowi pożytywać zasługę, iż, pisząc *Pana Tadeusza*, zadawał się „trochę zieloności“ w Sèvres pod Paryżem. Czyż nie znał śniegów alpejskich lub lazurów Partenopy? Czyż nie dość miał sposobności napawać się widokami jezior i lodowców szwajcarskich podczas swojej podróży z Odyńcem w roku 1830? Czyż da się zaprzeczyć fakt, że Mickiewicz więcej nierównie zwiedził miejscowości w Szwajcaryi,



aniżeli Słowacki? <sup>1)</sup> Czyż nie był dłużej znacznie, aniżeli Słowacki, w Rzymie i Neapolu? Czy nie miał sposobności, tak samo, jak Słowacki, farby zbierać do dzieła, nietylko w wiecznym mieście i nad lazurowym golfem partenopejskim, ale i w innych miastach i miasteczkach Italii, jak np. Wenecya, Medyolan, Bolonia, Padwa, Ferrara, że innych drobniejszych nie wspomnę, których Słowacki nie widział, w których nie był nigdy, nawet w przejeździe? A jednak, zaprzeczyc się nie da, że nie Mickiewiczowi, tylko Słowackiemu, zawdzięcza nasza poezya swe najpiękniejsze karty o Włoszech i Szwajcaryi. Bo, kiedy Mickiewicz pobudził Szwajcaryja jedynie do napisania — bardzo pięknego zresztą — wiersza *Na Alpach w Splügen*, a lazury Partenopy do przetłumaczenia *Kennst du das Land* Goethego, to Słowacki napisał na tle śniegów alpejskich najpiękniejszy, jaki jest, poemat miłosny: *W Szwajcaryi*, pod wpływem Rzymu skreślił dwadzieścia kilka natchnionych oktaw w drugiej części *Beniowskiego*, a lazury Partenopy odmalował z niezrównaną plastyką i świetnością kolorytu w pierwszej pieśni swojej *Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej*. Z tego zaś, że zwiedził jeszcze piaski ziemi Mizraima, których nie był ciekawy Mickiewicz (choć, czy nie był ich ciekawy, on, autor *Farysa*, *Szanfara* i *Sonetów Krymskich*, tłumacz *Giaura* i arabskich rapsodów *Almotenabbi*, *that is the question*) to, zdaje się, tłumacza go z tego zarzutu — jeśli to zarzutem nazwać można — opisy Wschodu, jakie nam dał w *Beniowskim*, opisy, od których piękniejszemi żadna nie może się poszczycić literatura, a przedewszystkiem *Ojciec zadżumionych*, który jest niezaprzeczenie jednym z najdrogocenniejszych klejnotów w koronie naszej poezyi, a którego byśmy nie posiadali, gdyby Słowacki nie był „szukał upojenia słońcem i błękitem“ wśród piasków ziemi Mizraima.

Tymczasem zbierał Słowacki w Kairze farby do swej weneckiej palety i znajdował w tem nie mało upojenia i przyjemności. Obok meczetów „w których to dwurożu dyamentowe światło wiecznie mruga“, obok nieba, które w swej słonecznej pogodzie robiło na nim wrażenie „turkusowego szlaku“, podobały mu się szczególnie, tak samo, jak w Alexandryi, damy wschodnie: zwłaszcza, kiedy siedząc na miękkich sofach lub na wżorzystych dywanach perskich, z nóżkami po turecku podwiniętymi pod siebie, paliły nargille: uważał, że im z tem bardzo było do twarzy <sup>2)</sup>; przeciwnie mężczyźni: ci wydawali mu się wprost śmiesznymi w takich chwilach:

Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem  
Do ust im lały, a oni je ssali,  
Smakując bardzo to, co bursztynową  
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

To też, nie dlatego zapewne, ażeby mózdz rozmawiać z Arabami, zaczął się Słowacki uczyć po arabsku. W przeciwnym razie bowiem nie zapisywałby w swoim raptularzu takich słówek, których się widocznie uczył na pamięć, jak: *Dżanent Kois* — dziewczyna piękna; *Pus* — pocałunek; *Athem* — noc; *Ma sik el bel hajer* — dobranoc; *tarrah* — głowa obwiązana woalem; *sufa* — włosy splecione i opatrzone kulkami złota; *seblech* — płaszcz kobiety, gdy wychodzą; *varczo* — zasłona muślinowa; i t. d., i t. d. Powyższe wyciągi z „dykeyonarza arabskiego“ świadczą aż nadto wymownie o płóchej dość *arriere pensée*, z jaką się poeta zaczął uczyć po arabsku, i mimowoli, przeglądając je, czytelnik przypomina sobie owego młodego bałamuta, który, we Włoszech będąc, doskonale potrafił rozmawiać się wszędzie z kobietami, choć cały jego zapas słów włoskich ograniczał się do: *Il baccio* (tytuł słynnego walca *Arditi*'ego), *Jo t'amo, mia bella, mia cara, si non e vero e ben trovato, La donna e mobile, Lasciate ogni speranza i Quel giorno piu non vi legemmo avante*. Zdaje

<sup>1)</sup> Wystarczy porównanie *Listów z podróży* Odyńca z listami Słowackiego do matki. Mickiewicz np. zwiedził całą dolinę Chamounix, lodowce góry Mont Blanc (Mer de glaces) czego nie widział Słowacki.

<sup>2)</sup> Listy I, 269.

się, że Słowacki w czasie swojej podróży po Wschodzie był trochę do tego bałamuta podobny; najlepszy dowód, że zwiedzając targ niewolników w Kairze, żałował bardzo, jak się do tego otwarcie przyznaje w jednym z listów do matki <sup>1)</sup>, że nie jest „dobrze złotem nadziany“, albowiem przychodziła mu romansowa myśl: kupić sobie... jedną prześliczną Abisynkę, która była właśnie na rynku Kairskim do sprzedania, a za którą dawano już 1.000 franków. On ani tyle, ani więcej dać nie mógł i dlatego, choć nigdy nie odczuł prawdy przysłowia francuzkiego, że *la resignation est la plus désagréable de toutes les vertus*, musiał chęć nie chcąc zrezygnować, — jakkolwiek przyznawał później, że było to „jedynie i istotne zachcenie“, jakie miał przez cały czas podróży swojej po Wschodzie. Zdawało mu się, że potrafiłby się zakochać szalenie w tej nieszczęśliwej istocie, którejby wrócił wolność i któraby nikogo oprócz niego na ziemi nie miała. Przebrałby ją za pazią i byłiby z sobą, jak nowy Lara z nową Gulnarą, jak Don Juan z uroczą Haidée, jak Wilhelm Meister z Mignon. Niestety, marzenia te musiały się rozbić o ową summę 1.000 franków, co, wnosząc z tonu, jakim o tem pisze Słowacki, o niemały na razie przyprawiło go smutek; piękna Abisynka bowiem zdołała urodą swą nadzwyczaj silnie oddziaływać na jego wyobraźnię, tak, iż „na nowo jakiś wulkan zaczął w nim wybuchać“... Ale trzeba było sobie wybić z głowy uroczą niewolnicę i jakimkolwiek sposobem zatrzeć w duszy jej obraz... Na pytanie: jakiego sposobu użył Słowacki w tym celu? — dostarczyć może odpowiedź druga część *Beniowskiego*, a mianowicie te z przytoczonych powyżej scen, w których bohater tej aryostycznej epopei podziwia wdziek, z jakim powabne córy Wschodu palą nargille lub też, z jakim arabskie Almee przeginają się w tańcu. Można twierdzić napewno, że Słowacki, pisząc te sceny, „nie tworzył prawie nic, lecz przypominał“. Na to zaś, żeby w Kairze, zarówno, jak i innych miastach wschodnich, widzieć taniec Almei lub „damy“ palące nargille, trzeba było, conajmniej, uczęszczać pilnie do miejscowych *cafés chantants*...

Bo z wycieczki do piramid egipskich nie mógł stanowczo przyszy autor „*Beniowskiego*“ takich wynieść wspomnień; tembardziej, że uczucie, jakiego doznał na widok ogromnych grobowców faraonowych równało się prawie... rozczarowaniu. Być może, iż w niemałym stopniu przyczynił się do tego otrzymany teraz w Kairze list od Eglantyny Patteg z Genewy <sup>2)</sup>, list, z którego dowiedział się, że panna Wodzińska „tfu! zamaż idzie...“ Wiadomość ta, bardzo ogólnikowa, bo nie umiano mu nawet powiedzieć dokładnie, czyją żoną ma jego Maryja zostać wkrótce, podziała nań przynębiająco. Zrazu wprawiła go we wściekłość, wściekłość, której echem jest owo „tfu!“ w *Beniowskim*; ochłonawszy jednak ze wściekłości, której źródłem, jak się domyśleć nie trudno, była zadrasńnięta do żywego miłość własna, popadł w odrętwienie i smutek... Wspomnienie tej chwili znalazło z czasem poetyczny swój oddźwięk w następujących oktawach pieśni drugiej *Beniowskiego*:

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?  
Zachować smutku wrażenia niestarte,  
I całe życie przeszłością się smucić?  
Odwiedzać morza, łądy, Egipt, Spartę,  
A zawsze: Ona teraz musi nucić!  
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!  
Ach! takem ja snił, lecz na piramidzie  
Tfu! odebrałem list, że... za mąż idzie! i t. d.

<sup>1)</sup> „Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze; zresztą nie wiem wcale co się dzieje ze znajomymi i miłymi osobami“. (Listy, I, 262). Krażyły wtedy pogłoski, że powodu spotkania się Chopina z rodziną Wodzińskich w Dreźnie i Maryenbadzie, że panna Wodzińska wychodzi za mąż... Eglantyna musiała coś o tem zasłyszeć w Genewie, nie zdołała się tylko dowiedzieć: kto stara się o Słowackiego Maryję? Wiedząc, że poeta bardzo się nią interesował (ach, wiedziała o tem Eglantyna aż nadto dobrze!) zakomunikowała mu wiadomość tę w liście. Można przypuścić nawet, że uczyniła to trochę w swoim własnym interesie.

<sup>2)</sup> Listy I, 265, II, 16, 17.

Wycieczkę do piramid w Gizeh odbyli Słowacki i Brzozowski w dniu 2 Listopada. Ażeby uniknąć skwaru południowego, wyruszono z hotelu przed wschodem słońca. Kair spał jeszcze. Tentent kopyt osiołków, na których jechali, oraz odbicie bosych nóg przewodników, biegnących obok po gładkiej, jak klepisko, ziemi, ich nawoływania i klaskania z bicza, głuchem echem rozlegały się po ciasnych, krętych, często u góry płótnami i matami zasłoniętych ulicach. Gdzieś niedziedzie z domów wychylały się białe postacie Arabów, dla popatrzenia na rannych podróżnych; każdy witał ich i pozdrawiał swoim *salam*, co zna czy „pokój wam“; potem, kiedy już brama, prowadząca z Nowego Kairu do Starego, została w tyle za nimi, wyjechali na drogę, która, wysadzona palmami, akacyami i kaktusami, wijąc się wśród egzotycznej wegetacji starannie utrzymanych ogrodów, doprowadziła ich aż nad brzeg Nilu, gdzie łódkami miano się przedostać na drugą stronę rzeki. Pogoda była przepyszna. Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem przesłaniała wschodzące słońce <sup>1)</sup>

i lzy brylantowe

Zawieszała na palmach, a gmachy różowe  
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni,  
Przesuwając się w tajnej ogrodzie zieleni  
Odchodziły gdzieś na Wschód... i t. d.

Nareszcie przeprowadzono się szczęśliwie przez Nil. Słowacki, oczarowany widokiem z łódki, rysował, „słowa bowiem, jak uważał, były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy“. Tem się też wytłumaczył daje fakt, że odtąd więcej będzie w raptularzu poety rysunków — ołówkiem — aniżeli poezyi opisowej. Nawiasem mówiąc, rysunki to, niektóre zwłaszcza, wcale udatne; są wśród nich takie, jak np. widok grobu Agamemnona w Mycenach, albo posagu Memnona o wschodzie słońca, które świadczą o wielkiem poczuciu pejzażu, poczuciu, którego mógłby Słowackiemu niejeden naśladowca mistrzów pozazdrościć... <sup>2)</sup> Tosamo da się powiedzieć i o opisach natury, dowodzących, że oprócz Mickiewicza żaden z poetów polskich tak, jak Słowacki, nie rozumiał krajobrazu, z czego wynika, że żaden tak, jak on, nie potrafił malować słowami. Jego opisy Grecyi w *Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej* i wycieczki do piramid egipskich, nie mówiąc już o opisach Wschodu w *Beniowskim*, mogą być postawione tylko... obok pejzażów z *Pana Tadeusza*, z którymi najzupełniej wytrzymują porównanie, przewyższając je nadto wenecką prawdziwie świetnością kolorytu.

Oto, co o Słowackiego sposobie malowania natury słowami pisze w swoim rozbiórce książki prof. Małeckiego St. Tarnowski (niezaprzeczenie najlepszy u nas znawca nietylko Krasińskiego, ale i Słowackiego): „Bez szczegółów albo bez całości, jednym ogólnym rysem, albo jednym uprzymieniem jednego drobnego szczegółu, wspomnieniem ziółka, wiatru, fali, Słowacki ma dar tajemniczy, że kilkoma słowami, jak na zaklecie, daje nam odczuć to, co sto razy czuliśmy sami w naturze, tylko pod jego zaklęciem czujemy to wyraźniej, lepiej, a zwłaszcza piękniej. Przepyszne opisy natury u Mickiewicza są zupełnie inne; ten układa swój obraz, znać u niego zarys całości, znać ugrupowanie szczegółów, znać stosunek i związek pomiędzy częściami, słowem postępuje on systematycznie i porządknie, sposobem wypróbowanym oddawna, a którego pierwszym wynalazcą był może Wergiliusz. To pewna, że nie porównując opisów, sposób opisywania był u Mickiewicza ten sam, co u wielu, co u Trembeckiego na przykład: widzi on, przypatruje się,

<sup>1)</sup> Por: Słowackiego wiersz „Piramidy“ (w wyd. pism t. I str. 40 mylnie zatytułowany „Odwiedziny Piramid“); H. Bartsch „Wspomnienia z podróży do Kairu i Jerozolimy“ (Warszawa 1873) i H. Sienkiewicza „Listy z Afryki“.

<sup>2)</sup> Rysunków tych z Grecyi, z Korfu, z Kairu, z Gizeh z Memfis, z Palestyny i Syrii, zawiera raptularzyk Słowackiego kilkanaście. Dzięki uprzejmości p. Leopolda Méyeta miałem możliwość oglądania ich nieraz w ciągu pisania niniejszego studium.



uważa i maluje; zachowuje się obiektywnie, jak spektator. Słowacki, jeżeli się tak wyrazić można, pojmuje i przedstawia naturę lirycznie; daje jej na siebie działać, rozkoszuje się w jej wdziękach, zatrzymuje w pamięci to, co go najwięcej upoiło, co mu było najprzyjemniejsze, i ten jeden szczegół najczęściej, to jedno wrażenie, przynosi do poezji. Ale też tak je przynosi, tak je w swoich słowach zamyka z całą świeżością, z całym blaskiem, że w tych słowach uwiecznione i zakłute, opada i opanowuje każdego, kto wstąpi w zaczarowane koło jego wierszy... Mickiewicz maluje naturę, Słowacki daje jej używać...“

Na poparcie powyższego twierdzenia wystarcza przytoczyć chociażby ten ustęp z wiersza o piramidach, w którym Słowacki opisuje drogę od brzegów Nilu aż do piramidy Cheopsa: „Przez Nil cichy prędkimi przepawiony wiosły“, i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXXVIII.

**Lidya**, obrazek dramatyczny w 1 akcie *Gensichena*, z niemieckiego przełożył *M. Gawalewicz*; **Zjazd koleżeńcki**, komedia w 1 akcie *Zygmunta Przybylskiego* — Teatr Wielki, przedstawienie na rzecz kasy pożyczkowej artystów d. 7-go Stycznia. — **Bajki**, komedia w 4-ach aktach, *M. Bałuckiego*. — Teatr Rozmaitości, dnia 13-go Stycznia.

Dramaturgia poszukała sobie tedy bohatera w Horacym: w sztuce *Gensichena* patrzymy na miłości poety rzymskiego podniesione do potęgi miłości. Śpiewa o tej Lidyi pochlebca Augustów w księdze I swych *Carmina*, ale z ody XXV można mieć wyobrażenie, jaka to być musiała miłość skoro auterek-kochanek odważył się na porównanie tak wstrętne, że nie każdy „naturalista“ dzisiejszy równą znalazłby w sobie odwagę. Poeta niemiecki spiłował chropowatą powierzchnię, wyrzeźbił na niej poetyczne ornamenta, i dał nam ostatecznie gładkie, połyskliwe cacko, w którym dużo jest i lirycznego nastroju i pogodnego wdzięku. Na tej słodyczy prawda biograficzna nicosobliwie wyszła, ale scena zyskała miły obrazek, który ma powodzenie w Niemczech.

Dobrze jest nagie przyodziewać: naga też prawdę przyodziewał *Gensichen* tak, że ją zupełnie zakrył; w miejsce zatargów i sprzeczek wywołanych przez pospolitą rodzajową zazdrość, ukazał szlachetnością już techną spór o prawa serca. Miłośnik różnych *Glicer*, *Chloi*, *Lalag*, — który sam dał sobie z obyczajów świadectwo: *e grege Epicuri*, — nie poznałby w tej *Lidyi* ani samego siebie, ani swej kochanicy, ani wreszcie swego wiersza *Exegi monumentum*. U nas artysta grający *Horacego*, p. Ładnowski, poszedł jeszcze dalej od autora i stworzył jakąś postać rzewności natchnioną, jakiegoś młodzieńczego wieszca, a nie sybarytę, który „swobodną stopą odbija się od ziemi“ a ze sławy i talentu umie zmysłowe i materyjalne ciągnąć korzyści. I p. *Lüde* (*Lidya*) również nastroiła się nad potrzebę. Nawet niewolnik (p. *Bolesławski*) grał z napuszością, mającą niby uszlachetnić uscenizowany wypadek. Jeden tylko p. *Nowicki* był prawdziwym w tonie; szkoda tylko, że był nieprawdzy w deklamacji. W mówieniu wierszem artysta koniecznie wprawić się musi.

O tłumaczu za to powiedzieć trzeba, że się z zadania swego wywiązał *arte*. Miło było wsłuchiwać się w to potoczyste, wdzięczne wystowienie. Ale dlaczego się ta piękna sukienka nie dostała innemu utworowi, nie *Lidyi*?

P. *Przybylski* znowu *zwickował* swój temat. Dobrze jest napisać rzecz dobrą, t. j. nie napisać

rzeczy złej, na początek; ale jest i złe, bo się ją przez całe życie już powtarza, jeśli nie treścią, to stylem. Niebezpieczeństwo takie grozi wszystkim autorom równie skromnie jak p. *Przybylski* obdarowanym przez naturę zdolnością zbierania wrażeń i przetwarzania ich na myśli, uczucia i obrazy. Zjazd urzędu na siebie młody ziemianin, mający żonę i siostrę żony, oczywiście, na wydaniu, bo inne siostry nie mają co robić w komediach. Całe grono kolegów zebrane już w jarzmo szczęścia małżeńskiego lub obowiązku, niepozwalającego myśleć o szczęściu; pozostał tylko jeden wolny: wierszopis i skrzypek. Wielkie to szczęście dla słuchaczy, że wierszy nie deklamuje, ale gra jakiś czuły kawałek — gra swoim kolegom, którzy, w osobliwszem amatorstwie, zostawiając dom cały z jego gośćmi na stronie, po arcypospolitych zwierzeniach i odkryciach nakazują młodości swej przemówić z fortepianu i skrzypiec. Niechybnie panią na wydaniu podsłucha grę, rozkliwi się i *stante pede* wyjdzie za uczestnika zjazdu koleżeńckiego. Tak się też dzieje, ale dbały zawsze o urozmaicenie swych sztuk p. *Przybylski* urozmaicił główny swój temat dodatkowym: wprowadził do komedijki sąsiadkę z trzema córkami. Tyle w niej psychiki i dowcipu, ile w jej nazwisku *Fornalkowska*, czy też *Fornalska*. Jest to *pasticcio* z *Bałuckiego*, który ten rekwizyt dramaturgii współczesnej, oryginalnie i z intencją sobie tylko właściwego humoru, pierwszy u nas wprowadził. *Fornalska* zwraca oko na łysego, ojca pięciorga już dzieci, a właściciela składu węgla; łysy i węglarz, z tytułu tego podwójnego specjalizmu swego, rzuca przed *Fornalkowską* — *fornalskie* dowcipy o kominach.

Nic więcej o tej sztuce powiedzieć nie można — i chyba mówić nie potrzeba. Rzecz straszliwie słaba. Rozpacz bierze, gdy się pomyśli o takiej pomysłowości; to jakby dziecinna muzyka na grzebieniu. W całej komedii p. *Przybylskiego* jedynie dobrą była piękna gra p. *Barcewicza*. Gdyby ją tak w dramaturgię swą na zawsze wcielił — ileżby komedye i komedijki p. *Przybylskiego* na tej annexyi zyskały!

Nie udały się i *Bałuckiemu Bajki*. Tematem jest tu plotka, w kilku, słabszych i silniejszych, odcieniach. Bohaterka, *Wściubińska*, miele a miele językiem z pomocą bezmyślnych języczków i szerzy straszliwie spustoszenie: ledwo, że nie sprowadziła upadłości bankiera będącego już na drodze do milionowej fortuny. *Bajczarstwo* grasuje między kobietami epidemicznie; złe i dobre, winne i niewinne — uprawiają plotkę, nawet z własną krzywdą. Pierwszą sprawczynią złego jest własna żona bankiera, pani *Morwina*, miła, zaena, bogobojna, ale zbyt popędliwa i gadatliwa osobka. Jakiś kuzyn, niegrający w sztuce żadnej zresztą roli czynnej, mówi jej jakby na żart, na przykład, powołany w argumentacji, że maż jest w ciężkich interessach: *miluchne* stworzonko, przypominające małą myszkę, nuż zaraz dawać ogłoszenie o willi, którą otrzymała była w upominku od męża. Gdyby przynajmniej poczekała do powrotu *Morwy*; ale nie, — sprzedaje w tej chwili. Popędliwość to równie zaena, jak nieprawdopodobna, a prawdziwie już p. *Morwina* staje się jakimś dzieckiem posłusznym woli autora, gdy sama rozgaduje zły stan banku.

Nic dziwnego, że gdy tak pocziwa *Morwina* pochopną jest do wiary, ogromny już ładunek jej znajduje u swej klienteli kobiecej w całym mieście *bajczarka* z powołania. Na publiczność pieniądze pada poploch, a dzięki autorowi pada niezmiernie łatwo. Zupełna niezajomość zjawisk rynku pieniężnego pozwoliła *Bałuckiemu* rzucić hurmem interessowanych, mających swe depozyta u *Morwy*, na jego kasę; większej jeszcze potrzebował, gdy nakazywał *Morwie* naiwnie odwoływać się do uczuć zagrożonych wierzycieli i wzbudzać w nich wiarę w prawość dłużnika niewypłacalnego. Na rynku pieniężnym cnota jest wyplacalność; można być łotrem; byle płacić, będzie się cnotliwym — i *vice versa*.

Ostatecznie od czegoż komedia, żeby się prawda wyjaśnić nie miała? Trzęsienie ziemi pod bankiem ustaje, gruzy niewielkie, firma odzyskuje swój połysk a *Morwa*, w nagrodę zgryzot

przebytych, otrzymuje w końcu sztuki od swego współnika, *Grubalskiego*, zawiadomienie, że to, co było w I akcie nadzieją, w IV stało się już rzeczywistością: spółka dostała koncesyją, zapewnijającą miliony.

Druga niegodziwość *Wściubińskiej* nie przechodzi tak gładko. Ofiarą jej padają oboje *Grubalscy*. *Plotkarka* rzuca na uczciwość małżeńską żony — cień, a na honor męża plamę. *Grubalska* sama do widza wyjść nie może, bo jej właśnie *bocian* przyniósł *miluchny* upominek; ale on krząta się po scenie dość raźnie, ochoczo, prawdziwie. Od młodego bankiera, podobniejszego do kochanka własnej żony niż, do człowieka z rynku pieniężnego, odbija korzystnie ten jędrny człowiek, poszukujący źródła oszczędności i znajdujący je wreszcie we *Wściubińskiej*, do której ma wstręt oddawna. Tu znowu pani bankierowa działa jako *bajczarka*, a dopomaga jej dzielnie bliźka znajoma, której mąż, *Klonowski*, sprzedawszy wieś, osiadł w mieście na dewocyi pracowitego próżnowania.

O córkę tego szlachcica zazębia się *Wściubińska* w trzeciej swej z rzędu sprawie. Chce ona rozerwać śluby małżeńskie w jakie panna *Klonowska* ma wstąpić, aby na urząd narzeczonego wsadzić własnego swego jakoby siostrzeńca. Przejęła *bajczarka* list do *lampartującego* się *nieponia*, i w mówiła zaraz w samą siebie, w ojca panny, że ten *cahier des doléances* wystosowany był do konkurenta, który temsamem utracić już winien wszelkie prawo do ręki panińskiej na rzecz owego właśnie *lamparta*. W rzeczywistości jest to motyw czystokomiczny; list napisała exaltowana guwernantka, której młodzieniec z typu *Urbasia* serce w wir czułych tęsknot wprawił był jeszcze przed początkiem sztuki. Gdy w końcu autor supły swej komedii rozplątuje, *Wściubińskiej* dostaje się zaśluzona chłosta: przekonana, że zamknęła w altanie wieczorem owego konkurenta zdrając, patrzeć musi na własnego siostrzeńca, wynurzającego się z cieniów. Jest to zakończenie w stylu starej komedii, nawet w poważnych, krwawych sztukach przez *Calderona* używane; *Bałucki* użył go dobrze do *Bajek*.

Rzecz prosta, że wszystko wesoło się kończy na tym najweselszym ze światów. Smutny temat obmowy, tej jędry tyle nieszczęść i cierpień wyrządzającej, opracowany powierzechu, za ledwie muśnięty, — rozplywa się w dowcipie rozwiązania, a płytkości zawiązywania węzłów. Są w *Bajkach* wypadki z komedii poważnej, ale niema uczuć, wrażeń psychologicznych momentów, dla komedii takiej niezbędnych. Znowu pochopna improwizacyjność zaskodziła rozumnej twórczości; znowu temat zmarnowany, dowcip po próżnicy sypany, bawienie widza bezmyślne. Zresztą i dowcipu i zabawności niewiele. Nie tracę nadziei, że teraz już chyba, przed napisaniem następnej komedii *Bałucki* skupi się, zamknie w sobie, rwące się pióro na uwięzi utrzyma, dopóki twórca wszech rzeczy, rozum, nie weźmie pomysłów jego do opracowania, i nie ułoży w porządek i nie oprze na fundamencie poważnej prawdy życia. Za wiele już scenicznych pohulańek. Czas już, czas wielki, na satyrę sceniczną.

Panna *Horvath* targnęła się na *Wściubińską*: zrobiła wszystko, czem można było tę rolę zepsuć. Szczera gorliwość przyniosła owoce: gra była haniebna. Już wtedy, kiedy p. *Horvath* debiutowała w *Miłości ubogiego młodzieńca*, wyraziłem wątpliwość, czy kiedykolwiek będzie z niej artystka. Czas złagodził chrapliwy bas głosu, ale spotęgował jeszcze szorstkość arcy-niemiałą w ruchach, w mimice, w chodzie, w całej dynamice postaci, a także w intonacji, w wykrzyknicach, — we wszystkim, co się składa na pojęcie gry. Trzeba poczekać do lata i zawiastać do jakiego teatryku prowincjonalnego, aby na własne oczy zobaczyć takie wruszanie ramionami, takie bicie się rękami po nogach — przenoszą nazwę części na całość — takie branie się w pas, takie porwy i zapędy przy wchodzeniu i wychodzeniu. Dla samych tych ruchów p. *Horvath* nie może myśleć o żadnej innej roli, prócz chyba tylko — brawurowej w najniższym za-



kresie. Co tu mordować sztukę? Czy każdy, kto wszedł na deski teatralne, ma już obowiązek być artystą dramatycznym?

Bardzo dobrym Grubalskim był p. Rapacki. Oprócz Wściubińskiej jemu jednemu dał autor coś do zrobienia. Wogóle sztuka nie przedstawiła pola popisu dla nikogo, ale przez wszystkich, z wyjątkiem p. Horvath, grana była dobrze; drobne jakieś pyłki nic nie znaczą. Nowa artystka sceny naszej, wyszła z kursów deklamacji Towarzystwa Muzycznego, później czynna na scenie lwowskiej w rolach lirycznych, młoda, zawód swój dopiero rozpoczynająca, — p. Bogusławska rolę sentymentalnej guwernantki oddała z odpowiednią plastyką; przydałoby się tylko złagodzenie ekliwoci i szybsze wysłowienie.

Stanisław Krzemiński.

## Z RZYMU.

Kto, nie chcąc spotkać się z mrozem i śniegiem, uciekał w tym roku z kraju pod błękit włoskiego nieba, doznał wielkiego zawodu, bo mamy tu mrozy dochodzące do dziesięciu stopni zimna a w parę dni po Nowym Roku spadł śnieg taki, że wszystko dokola: ulice, domy, pokryło się białą oponą i zapanowała też w mieście cała cisza taka, jakgdyby mór jakiś okrutny zdziesiątkował ludność. Ani jednej kobiety nie ujrzy oko na ulicy, żaden powoz, omnibus żaden nie zatętni wśród ciszy niemal grobowej, bo ruch w mieście ustał zupełnie, komunikacja przerwała się w najściślejszym tego słowa znaczeniu, bo telegraficzne, telefoniczne druty, których smugi rysują się tu gęsto po nad miastem, popękały pod ciężarem złodowiałego śniegu. Pociągi kolei opóźniają się też znacznie z powodu zasp śniegowych; a ile wypadków nieszczęścia zdarzyło się na morzu! bo dodać trzeba, że wysławiany tak przez podróżników spokój włoskiego powietrza ustąpił gwałtownym zawiejom i Bora, to jest silny wichur północno-wschodni, dmie na całym Włoch obszarze.

W Tryeście szalał przy dziesięciu stopniach zimna i ludzie tutejsi, których pamięć nie sięga takich mrozów, uważali to za koniec świata, a gdy w następstwie tego kotwice statków stojących w porcie zrywały się i wichur pędził wszystko na pełne morze, nikt już kierunku tu nie dawał prócz dzikich sił natury, wobec których człowiek stawał się bezsilnym. Co nieszczęści! co stracił obliczyć trudno; parowiec Margherita, wiozący ładunek wina, a dążący do Rieki, uwiązł między skałami i uratowano go od rozbicia jedynie kosztem 80.000 beczek wina, które rzucano w morze.

I działo się tak nie w jednym miejscu. Statek Tintoretto rozbił się już u wejścia do portu weneckiego; cała załoga poszła na dno, bo nikt nie mógł przyjść tu z pomocą i powtórzyło się niemało katastrof podobnych, a na domiar nieszczęść dzienniki donoszą o niebywałej tu rzeczy — o za grzęźnięciu w śniegu pociągów kolei żelaznej, dążących z Neapolu. Abruzzo, Kalabria, zostały zupełnie odcięte od świata; w Palermo, w Messynie, Florencji, Medyolanie, więc na całej przestrzeni Włoch, panują obok mrozów straszne zawieje śnieżne i co biedy, co nieszczęść okrutnych pociągów to za sobą, — wyrzucić trudno. W przeddzień Nowego Roku towarzystwo, złożone z pięciu osób, mężczyzn, puściło się z Turynu w odwiedziny do znajomych w okolicy, gdy nagle zerwała się straszna zamieć śnieżna i znaleziono na drugi dzień pięć skostniałych postaci ludzkich, między którymi znajdował się, poznany po mundurze, pułkownik artylerji, Giani. Ten był już trupem martwym, czterech jego towarzyszy dogorywało, a niejednym to wypadek taki, bo ludzie tutejsi, nieprzyzwyczajeni do mrozów podobnych, nie umieją zachować się w obec nich a warstwy ludowe nie mają nawet możności uchronienia się przed klęską. Wobec nieszczęść nie bywa tu żadnych prawie zabaw,

nawet zwykłych, urzędowych balów u dworu, a fundusze obracane zwykle na ten cel, używane są w tym roku na ulżenie nędzy ludu. Para królewska posiada znaczny majątek osobisty a nigdy skąpanie była; kochana też jest gorąco, dla cnót swoich.

W ostatnich dniach roku otrzymał król od komitetu robotników wspaniałe album; miał to być podarek, ofiarowany w rocznicę srebrnego wesela królewskiej pary, ale zbieranie podpisów nie dało się na czas skutecznym. Jest ich tu czterysta, skreślonych pod gorącym wyrazami przywiązania i król, szczerze wzruszony, dziękował ofiarodawcom. W 16-tą rocznicę zgonu Wiktora Emanuela to jest w d. 9 stycznia, miasto całe obchodziło żalobą i nabożeństwem akt wdzięcznej pamięci; król z małżonką i synowcem, księciem Turynu, byli na nabożeństwie w kościele Panteonu, i słuchali tam mszy żałobnej, którą odprawił kapelan dworu w kaplicy, przytykającej do grobowca króla bohatera. Następnie chciało miasto uczcić aktem pobożnym pamięć jego. Rada Miejska w galowych ubiorach i w paradnych karocach udała się z kolei do tejsamej świątyni, a na wielkim placu stały już w porządku uroczystym wszystkie stowarzyszenia rzymskie, których było bezmała trzydzieści, wszystkie z gołkami swemi, co sprawiało widok bardzo uroczysty. Gdy według przepisanej porządku wkroczone do świątyni, prezydent miasta złożył na grobowcu króla bohatera ogromny i pysznie piękny wieniec najrzadszych kwiatów, przysłanych na ten cel przez kobiety rzymskie. Orkiestra miejska, do której przyłączyli się najpierwsi muzycy włoscy, wykonywała odpowiednie kompozycje wielkich mistrzów: Beethovena, Bacha, Wagnera.

Poeeci nie pozostali też w tyle. Girolamo Rovetta napisał wspaniałe piękną odę na cześć Wiktora Emanuela. Rovetta jest medyolańczykiem z urodzenia; za dramat „I disonesti“ (Nienczeiwi), napisany bardzo szlachetnie i wykazujący w świetnie brzmiących wyrazach, jak człowiek może zwoła na zstępować w dół istnienia, jeżeli raz przypuści do siebie podłą chęć zysku, użycia, przyznano mu nagrodę honorową.

Sztuka ta już jest przełożoną na język niemiecki i bardzo tego pragnę, aby był jej przekład i w naszym języku. W ciągu karnawału mają przedstawić w różnych teatrach włoskich jedenaście nowych oper. Jest to obfitość niesłychana. Czy tylko jakoś odpowie ilości? — pytają tu ludzie, bo twórczość tak obfita rzadko kiedy przynosi owoce plodów wyższego znaczenia. Dobrze tu wróżą, przecież o utworze maestro Mores: „Orgelio di castelana“.

Duma bez podkładu pychy, która z wielkiej miłości własnej wypływa — to uczucie podniosłe; kto taki przedmiot obiera, musi tworzyć z motywów życia wyższych: przypuszczają też tutaj ludzie, że będzie to rzecz niepospolita. Operetka wkracza tymczasem dalej, niżby tego pragnąć można; lekkich utworów mnożyć się tu zaczyna za wiele, lecz nowa z tego rodzaju krecyja: „Wielki post miłości“ (Querisimo d'amore) księcia di Tora, posiada muzykę bardzo wdzięczną; przedmiot, choć oparty na tezie starej jak świat i ludzie, przecież nigdy nie przestarzał: a to, że miłość jest niepartą potrzebą człowieka i kto wyrzeka jej się wtedy, gdy młode serce ma prawo kochać, musi uleść temu uczuciu choć w jesieni życia. Libretto wcale ładne, muzyka bardzo wdzięczna, przyjęcie ze strony publiczności było też wielkim powodzeniem.

Za dni kilka ujrzymy w teatrze Constanzi pierwszy raz przedstawioną tu operę Bizeta „Carmen“. Ale wszystko to schodzi na plan drugi wobec zapowiedzianego w Medyolanie przedstawienia opery profesora muzyki w rzymskim konserwatorium muzycznym, Sabatina Lopez'a „Tajemnica“ (Il segreto). Na konkursie, rozpiętym tu z ramienia rządu, pod natchnieniem królowej Małgorzaty, opera ta otrzymała pierwszą nagrodę a publiczność po wysłuchaniu jej w teatrze przyznała słuszność temu wyrokowi sądu konkursowego. Motywa są szlachetne, czysto włoskie, trochę archaiczne, ale to bynajmniej rzeczy nie psuje, a raczej jej pomaga, bo ma-

stro zwrócił się do epoki najwspanialszego rozwoju sztuki we Włoszech. Obok talentu posiada on i wykształcenie umysłu niepospolite; zna wszystkich klasyków włoskich, zna historję w jej różnych gałęziach, a obok tego posiada pewne uczucie dumy, że należy do narodu najstarszej w Europie cywilizacji.

Opera jego nieprędko zejdzie z repertuaru, zwłaszcza, że Medyolan uważać można za miasto najsilniej rozmiłowane w muzyce, choć możnaby wątpić o tem na podstawie, że łoże, krzesła, oznaczone numerem trzynastym bywały zawsze puste podczas najmocniej interesujących przedstawień, jeżeli nie zajął ich ktoś z przyjezdnych cudzoziemców. Powtarzało się to i w Genui, a czytelnicy moi nie łatwo mogliby odgadnąć przyczynę: oto liczba trzydzieści uważana tu jest za fatalną. Zarządy teatrów wydały też na nią wyrok zagłady i numer dwunasty stał się obecnie podwójnym: 12 bis..

Trzeba przyznać, że kobieta włoska szczególnie ulega tym przesadom, które przez wychowanie szczepi w dzieci i laźdy z przebywających tu cudzoziemców musi dziwić się niejednokrotnie, że nawet wyżej wykształcona niełatwo może się otrząsnąć z tego. W klassach ludowych dochodzi te nieraz do stanu równającego się niemal z obłądkiem, jak dowodzi tego fakt okrutnej zbrodni, która miała się wprawdzie spełnić przez chciwość, ale niemniej na podstawie wierzeń w jakieś moce czarodziejskie, siły tajemnicze. W Sycylii, w pobliżu miasta Salami, znajduje się miejscowość, leżąca od wieków odłogiem a przedstawiająca oku dziwne ukształtowanie się gruntu, wyżyn i rozdołów szczególnej formacji. Okolica ta, zarosła od wieków dzikimi krzewami i wrzosem, była nieużytkiem, kozy tylko dostawały się tu niekiedy, i to rzadko, bo lękano się dla nich zablakania wśród parowów; tak też raz się stało z kozą, która uciekała między te wadyły małej dziesięcioletniej pastuszcze. Dziecko pobiegło za kozą, a gdy chciało przynęcić zbiega rwanem i rzucaniem mu zielkiem, znalazło wśród zarośli pieniądz, który po oczyszczeniu ze rdzy okazał się starą bardzo monetą złotą. Ojciec zakazał dziecku mówić o tem i, trzymając rzecz w tajemnicy, marzył o skarbie, zakopanym [tam kędyś przed wiekami, a okrutny przesąd, panujący w Sycylii, że skarb da się odkryć wtedy tylko, gdy umrze ten, który pierwszy na ślad jego trafił, ciągnął już chciwego człowieka do zbrodni dzieciobójstwa; lecz żona, której się z tem zwierzył w chwili stanowej może walki z sumieniem, krzykiem i płaczem rozpacznym sprowadziła ludzi do chaty.

Zbiegł się tłum, na morderstwo nie pozwolił, lecz rzucił się namiętnie do rozkopywania miejsca wskazanego przez biedne pachole; wieść o skarbie rozeszła się po okolicy, władza miejscowa wdała się w tę sprawę i roboty, prowadzone przez uczonego archeologa z Palermo, Adryana Salono, odsłoniły zwaliska dwóch świątyni pogańskich i wielkie ementaryzko z zamierzonych czasów. W grobach, których było przeszło pięćset, znaleziono starożytne naczynia: urny, łzawnice, oraz znaczną liczbę kosztownych przedmiotów, których większość przewieziono już do Palermo, gdzie mają urządzić dla nich umyślnie muzeum.

Zakłady tego rodzaju mnożą się we wszystkich prowincjach Włoch. Wenecki instytut sztuk i nauk posiada, zwłaszcza w oddziale drugim, zbiory wielkiej wartości, bo wszystko, co w tym zakresie morze z głębi swojej pozwoli człowiekowi wydstać jako okaz fauny lub flory, jest tu nadsyłanem ze wszystkich nadmorskich okolic półwyspu, a dodać potrzeba, że każdy marynarz weneccyanin, choćby majtek prosty, poczuwa się do obowiązku zapopatrywania muzeum, za co rzadko który chce przyjąć zapłatę, jakkolwiek instytut jest bogato uposażonym. Zmarły właśnie w tym czasie senator rzymski, profesor Minich, przyrodnik, zapisał tej instytucji trzy miliony lirów. Zapisy takie na cele dobra ogólnego nie są tu rzadkością. Znacomity historyk, Cezar Cantu, skończywszy dziewięćdziesiąty rok życia, sporządził w tych dniach testament, w którym poczynił znaczne dary na cele dobra ogólnego, przeważnie na cele naukowe, pomocy literackiej, oraz na stypendya dla uczącej się młodzieży, szczególnie



oddającej się studjom historycznym, które nazwał źródłem mądrości, uczące człowieka żyć.

Następnie, przyzwawszy do siebie o. Cozza Luzzi, vicebibliotekarza watykańskiego księgozbioru, z którym łączyły go stosunki przyjaźni, prosił listownie za jego pośrednictwem o błogosławieństwo Ojca Śwego, dodając, że będzie żądał tej łaski jeszcze raz jeden, a to gdy śmierć przyjdzie zamknąć mu oczy. Leon XIII odczytał list ze wzruszeniem i podyktował zaraz sekretarzowi swemu odpowiedź, w której przesyłał żądane błogosławieństwo apostołskie wraz z życzeniem najdłuższego życia wiernemu zawsze słudze kościoła, oraz człowiekowi dobrze zasłużonemu wobec narodu włoskiego, jak to cały ten naród uznaje. Papież wogóle jest bardzo przychylny ludziom oddającym się pracy naukowej; ceni to w nich jak cnotę, że pracują dla ogółu w najszlachetniejszym kierunku, ku szerzeniu oświaty, co stawia wyżej nad cnoty ascetyczne. Z jego-to natchnienia Joanna d'Arc zostanie zaliczona do rzędu świętych i kongregacya obrzędów już rozpoczęła narady, aby według form przyjętych aktu tego dokonać, wskutek czego wielu kapłanów francuzkich zjedzie do miasta naszego.

Zjazd z zakresu spraw innego rodzaju: międzynarodowy kongres lekarski, który w kwietniu miał się w Rzymie zgromadzić, odroczone, więc też i termin oznajmiania prac, z jakimi wystąpić mają uczestnicy kongressu, przedłużono do końca bieżącego miesiąca, co zapewne wyjdzie na korzyść nauki, bo stara sentencya łacińska: śpiesz się powoli... nigdy nie przestanie być radą dobrą. W maju zostanie otwartą w Medyolanie wystawa dziennikarska, urządzona staraniem związku dziennikarzy lombardzkich, na którą i do was zaproszenia przesłane zostały; będzie tu obok tego oddział wystawy drukarskiej, a razem powieść można, że rzecz będzie poważnie interesującą. Dziennikarstwo stało się w wieku naszym potęgą—wielkim organem cywilizacji, dodać tylko trzeba, że w miarę kierunku jaki obiera; wystawa ma też niemałe znaczenie, ponieważ odda pod sąd krytyki tę ważną część literatury nowoczesnej. Niekiedy z czytelników umie sobie w zakresie tym umiejtny sąd o rzeczy wytorzyć, a przecież to, co czytamy codziennie, wywiera wpływ wielki, bo jest to działanie podobne do tych sączących się z wolna kropli wody, które przebijają kamienie.

Z nastaniem wiosny, w kwietniu, w maju, obchodzić tu będziemy tysięczny pięćsetletni jubileusz powstania dzwonów. Pierwszy dzwon, który się ozwał w powietrzu, zwołując ludzi do modlitwy, zabrzmiał wśród Kampanii rzymskiej, a według podania biskup Paulus z Nola, pobożny, świętobliwy kapłan pierwszy wpadł na myśl użycia tego hasła, zwołującego wiernych do świątyni pańskich. Legenda twierdzi, że podsunął mu to widok kwiatów polnych, dzwonekmi zwanych, które zarastając leśną polankę, kołysały się pod tchnieniem wietrzyka, wydając szmer łagodny, rozechodzący się w powietrzu. Pszczółki zlatywały się do kwiecica, dążąc za tym szmerem, i kapłan wpadł na myśl, że możnaby użyć podobnie dzwonów metalowych, których głos obwieszczał, by ludziom czas zgromadzenia się w świątyniach na nabożeństwo. Zaczęto najpierw używać dzwonów po klasztorach zbudowanych wśród polank leśnych. Wkrótce dzwon rozległ się raz pierwszy we Francji, w Rzymie stało się to w roku 590 pod papieżem Sabinem, a dziś miliony ludzi odczuwają powołanie do modlitwy za usłyszeniem tych dźwięków poważnie uroczystych.

August.

## PODRÓŻ NA KSIĘŻYC

przez

C. hr. von Wartensleben.

Wiek nasz jest wiekiem podróży. Wkrótce Europa okaże się zbyt ciasną; a co gorsza, jej śniegiem pokryte olbrzymie górskie, jej żyzne doliny, brzegi morskie i wyspy zaczynają powszednieć. Z tego też powodu szybujemy po oceanie, ale, niestety, do opłynięcia kuli ziemskiej wystarcza ośm-dziesiąt dni. Wkrótce niedostateczną okaże się kula ziemska, a cóż będzie wtedy?—Czy w takich okolicznościach podróż na księżyc nie byłaby na miejscu? Wszak po wszystkie czasy posyłano tam tyle tęsknych spojrzeń i ciepłych wyrazów powitalnych! Zresztą księżyc jest najbliższym sąsiadem naszym we wszechświecie, odległym tylko na 51,256 mil geograficznych, co przecież w znaczeniu kosmicznym jest zaledwie kocim skokiem.

Nie zamykamy oczów na niewygody i trudności podobnej podróży, ale czyż nie wynagrodzą za nie miłe i wspaniałe wrażenia, oczekujące nas na księżycu? Niełatwo jest wprawdzie oznaczyć właściwszy sposób podróżowania, skoro każdy ze znanych nam wehikułów posiada właściwy wszystkim ciałom na ziemi ciężar gatunkowy, a z tego powodu trzymać się musi powierzchni ziemi i dążyć do jej środka. Zresztą, używając ich, musielibyśmy podróżować nadto długo. Jeżeli pociąg pośpieszny przechodzi w godzinę dziewięć mil geograficznych, to zajechałby z nami na księżyc przy takiej prędkości zaledwie po 238 dniach nieprzerwanej podróży.

Mimowolnie nasuwa się tu myśl jazdy balonem, który oddala się w każdym razie od powierzchni ziemi i zdaje się pędzić w przestrzeń. Ale nie tylko nie jesteśmy pewni możliwości kierowania nim—bo udaje się to tylko przy bardzo spokojnym powietrzu, lecz niewiadomo nawet do jakiej wysokości on się może wynieść. Jakkolwiek balon napełnia się najlżejszym rodzajem gazu, wodorem, który daleko mniej waży od powietrza atmosferycznego, to przecież unosi on się właśnie w tem powietrzu, które coraz rzadszem się staje przy przechodzeniu w wyższe sfery. Na wysokości pół mili powietrze jest o jedną trzecią rzadsze niż bezpośrednio nad powierzchnią morza. Po przebyciu dwóch mil gęstość jego jest sześć razy mniejszą, na wysokości czterech zmniejsza się już trzydzieści trzy razy. Tu powietrze jest już tak rzadkiem, że tak zw. bezpowietrzna przestrzeń naszych pomp najlepszych posiada gęstsze. Na dziesięciu milach wysokości gęstość powietrza stanowi zaledwie jedną dziesięciotysięczną część normalnej. Na takiej wysokości przekroczyliśmy oddawna równowagę gęstości powietrza i wodoru, a więc stoimy poza granicami, w których powietrze atmosferyczne znosić może balon. Do tych, i tak już wielkich niedogodności, przybywa jeszcze inna: czy przy pomocy najłatwiejszego do kierowania i najlepiej uskrydlonego wehikułu, jakim jest balon, dostalibyśmy się na księżyc, jakkolwiek świeci on tak jasno i rozświetla drogę? Wątpliwość tę nasuwa nam okoliczność, że promień światła, dochodzący do naszego oka, zostaje załamany tak, iż nie widzimy gwiazd w tem miejscu, gdzie się one istotnie znajdują, moglibyśmy więc dojechać do księżycy tylko bardzo krętym szlakiem. Więcej jeszcze przeszkadza nam stacya, z której wyjeżdżamy: ziemia, szybki, niepewny okręciak, obracający się w ciągu 24 godzin naokoło osi, żeglujący po oceanie wszechświata z szybkością czterech mil geograficznych na sekundę, podczas kiedy księżyc towarzyszy okrętowi, opływając go po linii krzywej i z ciągłe zmieniającą się szybkością. Taka przeto podróż na księżyc mało daje nadziei powodzenia.

Możnaby również myśleć o wystrzale, któryby ruch wyzwolił, jak się to np. dzieje z kulą wypchniętą przez gazy. Przecież kula armatnia, puszczona z początkową siłą 300 m. na sekundę, wznosi się tylko w ciągu 29 sekund aż do wyso-

kości 4,600 m., a potem spada. Tak samo i granat, wyrzucony z ciężkiej broni, który wali z początkową chyżością 500 m. na sekundę nie zajdzie daleko, bo i jego sprowadzi na ziemię niewidzialna siła ciężkości. Gdyby zaś pocisk miał zwyciężyć siłę tych tajemniczych więzów i mógł dolecieć aż do księżycy, to trzebaby go wyrzucić, jak wykazują, obliczenia z siłą 86 km., to znaczy 11½ mil geograficznych na sekundę. Obliczenie to przecież spoczywa dotąd w tece, jako „cenny materiał“ i nie ma zastosowania praktycznego. Przypomnijmy sobie, że nie mówiąc już o działaniu podobnego uderzenia na nasze ciało, łamanie się światła, oraz ruchy księżycy i ziemi—stanowiłyby trudne do zwalczania przeszkody.

Promień światła, prowadzący pewno, choć po łamanej linii, na księżyc, nęci nas do użycia jego pośrednictwa przy tej podróży. Jest on rączym i niezmordowanym posłańcem przy wprowadzaniu nas w świat, w którym, nie tylko nasza ziemia, ale i cały nasz system słoneczny, o średnicy zajmującej przeszło 1,200 milionów mil geograficznych stanowi drobny atom. Gdy spoglądamy ku najmniej oddalonej od nas gwiazdzie stałej Alfa, w gwiazdozbiornie Centaura, dochodzi do naszego oka promień świetlny, biegnący już wprawdzie od 6½ lat, ale ciało niebieskie, które go wysłało, oddalonem jest od nas o 82 biliony mil geograficznych. Od najdalszej zaś gwiazdy, której odległość zmierzyć możemy, od świetlanej Capelli w gwiazdozbiornie Woźnicy, oddalonej od nas o 90 bilionów mil, a więc o przestrzeń 4½ milionów razy większą od tej, jaka nas oddziela od słońca, szedł promień światła tylko 68 lat. Przebiega on bowiem około 40.000 mil geograficznych na sekundę i potrzebuje 8 minut i 19 sekund, aby przejść 20 milionów mil, które oddzielają słońce od ziemi. Podczas kiedy dźwięk, przenoszący się z prędkością 330.5 metrów na sekundę doszedłby od ziemi do księżycy w ciągu 14 dni, światło przechodzi tę samą odległość 1½ sekundy. Przecież nawet gdyby rządząca nami siła ciężkości, albo przyciągania, zrobiwszy dla nas wyjątek, pozwoliła nam zużytkować promień światła jako sposób przenoszenia się np., jako wierzehowego konia, musiałaby szybkość tej niezwyklej lokomotywy sprowadzić zgnębne następstwa dla naszego ciała wskutek tarcia się jego o powietrze. Mianowicie: moglibyśmy zupełnie spalić się i wyparować, gdyż według powszechnego prawa, ruch powstrzymywany zamienia się w ciepło.

Jako jedyne sposoby podróżowania pozostają przeto skrzydła myśli, którym przeszkodzić nie może ani czas, ani przestrzeń, ani żadne ciało niebieskie. Temi posługując się bez wahania, zabieram kilku Baedekerów, mówiących o księżycu, między innymi System Świata, Littrowa.

Na wysokości 8.000 metrów otwiera się rozległy horyzont o 85-u milach geograficznych w promieniu, ale rozkosz tego widoku psuje niebawem działanie rzadkiego powietrza. Bo najwyższe, stale przez człowieka zamieszkiwane, miejscowości nie dochodzą 5,000 m. wysokości: i tak Thok Jalung w Tybecie wzniesiony jest o 4979 m. nad powierzchnią morza, klasztor buddyjski Hanle w zachodnim Tybecie o 4,598 m., a i tam już w mieszkaneńców zauważyć się daje zależna od położenia „choroba górską“.

Pomyślałem o Glaisherze i Coxwellu, których balon podniósł się (w 1862 r.) prawdopodobnie do 10,000 m.; na wysokości 8,000 m. bowiem utracili oni przytomność i nie odzyskali jej, aż dopóki nie opuścił się niżej. Przypomniałem sobie Tissandiera, Crocé—Spinelliego i Sivel'a, którzy utracili również świadomość po dłuższym przebywaniu na wysokości przeszło 8,000 (15-go kw. 1875 r.) Było to omdlenie, z którego Sivel nie obudził się już nigdy. Alexandrowi Humboldt'owi i Bonpland'owi pociekła krew z dżaseł, warg i uszów przy wchodzeniu na Ohimbora, na wysokości około 6,000 m. Jak małą wydaje się wysokość 10,000 m. w stosunku do średnicy ziemi, która wynosi 1,719 mil geograficznych! Na globusie 30 cm. średnicy wyniosła by ona zaledwie tyle, co grubość zwykłego papieru, t. jest ¼ milim. Ponieważ jednak na tej wysokości moje płuca nie mogły się zaopatrzyć w niezbędną ilość tlenu, a życie polega na prze-



mianie gazów, śmierć wydała mi się nieuniknioną. Nie wiele wyżej po nad dwie mile geograficzne doszedłem do wysokości, w której unoszą się najdelikatniejsze obłoki. Ale ze strachem przekonałem się wkrótce, że ciało moje ucierpiało od nowych warunków ciśnienia powietrza.

Jak okazuje zmiana wagi naczynia napełnionego powietrzem, z którego potem zawartość wypompowano, litr powietrza waży koło  $1\frac{1}{3}$  gr. Bezpośrednio nad morzem, albo na jednakowym z niem poziomie, w warunkach normalnych powietrza słupek rtęci w barometrze równa się 760 mm. i wywiera na każdy centymetr kwadratowy ciśnienie 1.032,8 gramów. Ponieważ powierzchnia ciała u człowieka dorosłego ma przeciętnie  $1\frac{1}{2}$  metra kw., przeto powietrze wywiera na nią ciśnienie 15.492 kg. = 37.000 funtom. Pod takim ciężarem człowiek zostałby zmiażdżonym, gdyby powietrze wewnątrz ciała nie wywierało na niego równie wielkiego ciśnienia, które przeszkadza zgnieceniu.

Ponieważ istoty żyjące w ziemskim oceanie powietrznym przystosowane są do scharakteryzowanych tu stosunków ciśnienia, nie dziwiłbym się, gdyby w ciele mojem nastąpiły zmiany podobne do zmian w ciałach zwierząt, wydobywanych z wielkich głębin morskich. Podczas kiedy ciśnienie, jakiemu podlega każda stopa kwadratowa ziemi równa się 2.176-u funtom, kolumna wody morskiej w głębokości 1.000 stóp ciśnie 313 razy silniej, a w głębokości 20.000 stóp ciśnienie to powiększa się 6.260 razy. Zwierzę morskie, wielkości średniej dorosłego człowieka, dźwiga na sobie, według obliczeń Wyville Thomsona, w głębokości 5.000 stóp ciężar dziesięciu pociągów towarowych, przewożących żelazne szyny. W najgłębszych znanych nam przepaściach, dochodzących do 8.509 metrów, ciężar ten równa się pięćdziesięciu takim pociągom.

Gdy zwierzęta przystosowane do ciśnienia wielkich głębin zostaną przeniesione blisko powierzchni, gdzie ciśnienie spada do małej części poprzedniego, wówczas powietrze wypręża się znacznie we krwi, w tkankach, które pękają albo rozluźniają się w takim stopniu, że śmierć musi nastąpić. Z tego powodu nigdy prawie nie udało się dotąd uczonym wydobyć zwierzęcia żyjącego z wielkich głębin, a tkanki ciała ryb były już tak zniszczone, że przechowanie zwierząt udawało się tylko w wyjątkowych wypadkach. Z tych samych powodów groziłaby śmierć i mojemu ciału, nawet wtedy, gdyby wytrzymało brak tlenu, im więcej oddalałoby się od normalnych warunków ciśnienia powietrza, w jakich istnieć może.

Do tak fatalnego położenia przyłącza się co raz większe zimno. Atmosfera rozciąga się nad ziemią w postaci ochronnego płaszcza i podtrzymuje w nocy, przy pomocy pary wodnej zwłaszcza, ciepło przesłane ziemi w ciągu dnia przez słońce. Świecące promienie słońca idą ku ziemi, pozostawiając połowę ciepła w atmosferze powietrznej, która się niemi nie ogrzewa. Promienie ciepła, które wysyła ziemia, pochłania para wodna atmosfery. Im wyżej nad powierzchnią ziemi, tem mniejszem jest ciepło, gdyż pochłanianie ciepła zależy od gęstości i wysokości atmosfery. Zniżanie się temperatury wynosi średnio  $0.6^{\circ}$  C. na każde 100 metrów wysokości. W taki sposób na każdym punkcie ziemi znaleźć się może wysokość, na której nie taje śnieg i lód nawet wśród lata. Granica taka może być różną, ale w miejscu mojego zamieszkania, w Fürstenbergu, znajduje się na wysokości dwóch tysięcy metrów. Gdyby znalazła się tu góra tej wysokości, to wierzchołek jej musiałby być pokryty wiecznym śniegiem. Taki klimat jeszcze może być znośnym, ale temperatura niższa się w miarę odległości od powierzchni

ziemi nadzwyczaj szybko. Wysokość jej bardzo rozmaicie obliczana była przez Fourier'a, Toisson'a, Saygey'a, Pouillet'a i sir Johna Herschla. Najprawdopodobniejszą wydała mi się liczba podawana przez dwóch ostatnich badaczy ( $-146^{\circ}$  C.), gdyż wysokość przyjęta przez trzech pierwszych ( $-40^{\circ}$  do  $-60^{\circ}$  C.) przewyższoną jest nawet przez najwyższy stopień zimna, obserwowany na Syberji ( $63.2^{\circ}$  C.). Średnia temperatura zimy, którą tam obserwowano, wynosiła  $-47.3^{\circ}$  C., jakkolwiek Syberja nie jest pozbawiona atmosfery powietrznej. Ale co to było? Przeszło koło mnie stałe ciało dążące ku ziemi, ciemny meteor, który zaświecił jednak, wszedłszy w atmosferę ziemi.

(Dokończenie nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż powstać ma w ciągu bieżącego roku piętnaście nowych szkół rolniczo-gospodarskich w różnych miejscowościach państwa.

— Dziewiąty zjazd przyrodników i lekarzy otwarty został w Moskwie d. 16 Stycznia.

— Z Petersburga wyjeżdża delegacja wysłana przez ministerium komunikacji z celem badania rzeki Amur. Delegacja składa się z oficera marynarki, inżynierów i topografów; na kosztu wyprawy przeznaczono 70.000 rs., puści się ona w drogę lądem, prace jej rozpoczną się od miejscowości Szilka i trwać będą dwa lata.

— W Tomsku ukazała się w nocy z d. 23 na 24 Listopada zorza północna, trwająca blisko godzinę. Jest to w tej strefie zjawisko niezwykle.

— Na kosztu restauracji głównej nawy i prezbiterium archikatedralnego kościoła Ś-go Jana. J. E. arcybiskup Popiel ofiarował 10.000 rs. Kosztorys robót przedstawia przeciętne 20.000 rs. zatem potrzeba jeszcze 10.000 rs., które zebrane być muszą drogą składek.

— Roboty przy wznoszeniu wielkiego ołtarza w kościele Ś-go Alexandra są już na ukończeniu. Wspaniale przedstawia się oczom nowy ołtarz, w stylu renesansu; mieścić ów będzie odświeżony obraz dawny, przedstawiający Chrystusa ukrzyżowanego, dzieło sztuki włoskiej. Uroczyste odsłonięcie ołtarza a jednocześnie poświęcenie drugiej, nowo przybudowanej części kościoła nastąpi w ciągu bieżącego miesiąca.

— Zarząd Warszawskiego Towarz. Dobroczynności wydał skorowidz dni posiedzeń i czynności Towarzystwa na rok bieżący. Mieszczą się tu zarazem nazwiska i adresy opiekunów cyrkulowych, opiekunów ochron i przytułków, czytelników bezpłatnych, szwalni, kuchni tanich i kas pożyczkowych.

— Do sal rysunkowych przy Muzeum Rzemieślniczym tak licznie uczęszcza młodzież rzemieślnicza, iż zarząd postanowił otworzyć jedną jeszcze salę kopiowania. Osoby, pragnące korzystać z modeli i wzorów muzealnych, powinny wnieść podanie do kustosa Muzeum.

— D. 18-go Stycznia odbyło się w Tow. Sztuk Pięknych posiedzenie delegacji konkursowej w sprawie konkursu architektonicznego.

Czternaście obrazów pendzla Adryana Głębockiego, wystawionych w Salonie Artystycznym, nabył ksiądz Aborowicz, pleban parafii Kalinówka.

— Klub myśliwski stał się właścicielem obrazu Józefa Brandta, przedstawiającego powrót

z polowania na dzika. Jest to krajobraz zimowy; zabity odyniec leży na wozie, obok którego postępuje dwóch leśniczych.

— Pałac hr. Potockiego na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Czystej ma być z gruntu odnowiony i przywrócony do dawnego stanu, przeciw braknąć mu już będzie obszernego ogrodu, który rozciągał się niegdyś na gruncie, tworzącym obecnie ulicę Czystą. Fronton z głównym podjazdem zostanie według dawnych form odnowiony, a wznoszący się w podwórzu budynek, w którym mieści się obecnie Tow. Sztuk Pięknych zostanie za lat kilka, to jest po upływie czasu zawarowanego na rzecz Towarzystwa kontraktem najmu, zburzony, i na miejscu tem rozciągnięć się kobierzec trawnika z klombami kwiatów.

— Rękopismo poezji Kajetana Węgierskiego znalazł się w okolicach Płocka, we dworze jednego z miejscowych ziemian, a mieści się tam wiele niedrukowanych i nieznanych utworów.

— W roku bieżącym przypada pięćdziesięcioletni jubileusz kolei wiedeńskiej. Urzędnicy z wydziału ruchu, panowie: Kazimierz Wrzosek i Józef Vogtman, postanowili opracować album statystyczne, wykazujące ruch pasażerów, oraz ilość towarów przewiezionych koleją. Olbrzymie tablice, wykonane sposobem graficznie poglądowym, zostaną zawieszane na pamiątkę w sali posiedzeń Rady Zarządzającej.

— Dr Zygmunt Łaskowski, profesor uniwersytetu genewskiego, wykonał, przy współudziale sił zbiorowych, wykazujące ruch pasażerów, którego sam nakład tylko kosztował 50.000 franków. Atlas ten będzie przesłany do Lwowa.

— Krakowskie Towarzystwo Muzyczne obrało prezesem swoim Dr Kasparka, delegatem jest Dr Jordan, na delegatów komisji artystycznej wybrano pp. Wład. Żeleńskiego i Dr Witkowskiego Augusta. Żeleński bawi obecnie we Lwowie w sprawie nowej opery swojej, która ma być wkrótce wystawiona w teatrze Skarbka.

## MYŚLI.

— Bóg to prawda... szukajmy prawdy a znajdziemy Boga.

— Pocięchy szukaj tylko w rzeczach nieśmiertelnych: w naturze i w myśli.

*Carmen Silva.*

— Jest iskra, co nie niszczy, lecz zapala i oświeca. Prometeusz wykradł ją bogom miłością i wiarą.

*Koscialkowska.*

— Co tu rozstrzyga losów zawilość? Miłość...

— Świat to instrument, na którym trzeba umieć grać.

— Połowa stworzenia—wola stworzonych.

*Zygmunt Krasinski.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Maurycy Jokaj, przez M. I.—Pierwszy występ nowella Sewera (dalszy ciąg). — Juliusz Słowacki w Egipcie, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—Z Rzymu, przez Augusta. — Podróż na księżyc, przez C. hr. von Wartenslebena.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 10-ty **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon. — 36 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.